

Urządzić cały kraj...

Autor tekstu: **Romana Kolarzowa**

Piękny postulat, aby praca intelektualna wolna była od uwikłań akcydentalnych, jest od samego początku niemożliwy do spełnienia. Toteż nie należy się gorszyć ani nawet dziwić, że coraz częściej uczeni wikłają się w sprawy bieżące; wszak w każdym miejscu i czasie najtęższe umysły pochłonięte bywały takimi właśnie sprawami. Można to zaabsorbowanie tłumaczyć na kilka, chwalebnych dla uczonych, sposobów. Pozostańmy przy racji Arystotelesa, że człowiek to istota polityczna: tworząca *polis*, w nich żyjąca i ich funkcjonowaniem zajęta. Widocznie rzecz ma się tak, że wprowadzie systemy organizacji ludzkich wspólnot oraz właściwe im formy władzy są akcydentalne, ale nie jest akcydensem ani ludzka skłonność do życia wspólnotowego, ani pożądanie władzy. [1] Jednak oczywistość naszego uwikłania w politykę to jedno, a sposoby, jakimi ono przebiega oraz objawia się, to rzecz inna. Te już nie wszystkie są oczywiste ani — na podobieństwo sądu arystotelesowskiego — roztropne.

Aporie rozumu politycznego są zresztą na tyle znane — od najprostszej, platońskiej jeszcze: między nadrzędnością prawdy a niezbędną częstkowością i funkcjonalnych kłamstw — że w kręgach intelektualnych winny trochę powściągać skądinąd naturalny zapach do bezpośredniego zaangażowania. A nawet winny i miarkować chęci poniekąd teoretyczne, takie, których intencją byłoby nie bezstronne rozpoznanie i zinterpretowanie faktów, ale usprawiedliwienie potrzeb i z nich się rodzących projektów rzeczywistych stronnictw i partii politycznych. Tu bowiem dokonuje się przekroczenie granicy między w miarę obiektywną (doskonale obiektywnej nie ma) refleksją, z zasady gotową i do przedstawienia rzeczy, jak się mają, i do uznania racji wedle tego, gdzie ona jest, a nie tego, skąd pochodzi — a ideologią, także z zasady nastawioną na wynajdywanie racji dla tego, co sprawujący władzę lub do niej pretendujący uznają za właściwe. [2]

Jednak pomiarkowania takiego nie ma; i to tak dalece, że w polskim dyskursie politycznym od dawna i zdecydowanie dominuje ideologia podawana za refleksję. Zjawisko to narasta, co dość oczywiste: w okresach poprzedzających znaczące wydarzenia polityczne ideologie stają się nieledwie wszechobecne. Gorączka ideologiczna standardowo wzmagą się przed wyborami. Staje się nieraz maligną, w której traci się rozeznanie, że większość racji, w trakcie tej gorączki podsuwanych i propagowanych, jest stronnicza i utylitarna. A ze składowych platońskiej aporii prawda się ulatnia. Nie ma, co zrozumiałe, stronnictwa, które nie twierdziłoby, że reprezentuje dobro, prawdę itp. wartości. Wszelako gdy policzy się wartości środków, mających osiągnięcie deklarowanych a słusznych celów zagwarantować, wtedy okazuje się, że spod sumy użytych i do użycia przewidywanych nie-dobra i nie-prawd szlachetnego celu już nie widać.

W latach 2004-2007 (jedna cezura wyborcza) i 2007-2009 (druga cezura) główna teza (?) polskiej „debaty politycznej” (jakoś te zjawiska trzeba nazywać...) pozostaje niezmienną: ma to być niezbędność gruntownej reformy ustrojowej państwa. Tak gruntownej, że aż wymagającej napisania na nowo lub co najmniej znaczącego przededagowania Ustawy Zasadniczej. Warto by w zauroczeniu amerykańskością tę lekcję sobie przyswoić: Ustawa Zasadnicza, jeśli ma zachować należną aktowi fundamentalnemu państwa powagę, nie może być odmieniana wedle zachcenia. Nie można jednak wokół niej tworzyć mitu założycielskiego, wedle którego w pierwotnym kształcie jest ona aktem najdoskonalszym. Gdy okazuje się, że niezbędne są poprawki, wprowadza się je. No, ale Konstytucję Stanów tworzyli głównie reprezentanci chrześcijaństwa reformowanego, wdrożeni do praktyki samodzielnej lektury i interpretacji kanonu. To jest niebagatelna różnica kulturowa.

Z polską Konstytucją kłopot nie polega ani na tym, że jest ona niedobra, ani że nie mogłaby być lepsza, ale na tym, że nie jest respektowana. A podobnie z wszelkim prawem. Ten brak szacunku dla porządku prawnego nie zrodził się jedynie z porządków tych ułomności, ale z głębokiej prawnej ignorancji. Tak głębokiej, że niedostrzeganej we wszystkich akcjach reformowania edukacji. Skutkiem tego jest taki stan rzeczy, że obywatel Polski mniej więcej tyle wie o konstytucji, że to bardzo ważny dokument. Lepiej wyedukowany ma nawet pojęcie, że z tym dokumentem powinny być w zgodzie pozostałe akty prawne. Ale co to znaczy? — tu średnio rozgarnięty absolwent college'u w Iowa lub w Arkansas więcej wie niż prymus polskiej prestiżowej uczelni, nie będący prawnikiem ani aktywistą społecznym.

Niekiedy prawnicy też nie lepsi. W parodii debaty, do jakiej w grudniu 2009 r. doszło ostatecznie w XIV LO we Wrocławiu, występował prawnik, dla którego — co słusznie wytknęli

inicjatorzy debaty — treść tego aktu to tyle, co zapisano w preambule. W takim razie po co cała reszta? Wypada więc uznać, że Ustawa Zasadnicza jest w Polsce traktowana jako twór mistyczny, a wszelkie związane z nim „dyskusje” i „spory” (znowu trzeba te zjawiska jakoś ponazywać...) bliskie są praktykom magicznym. Umożliwia je i wspiera umiejętnie propagowana wiara, że zmiana formuły (znalezienie właściwego zaklęcia) wywoła pożądaną odmianę rzeczywistości. Oraz że żadna zmiana realna nie nastąpi, o ile nie znajdzie się stosownej, zaklinającej formuły. To są przykłady owych cząstkowych nieprawd, mających posłużyć do osiągnięcia celu pożądanego, czyli „prawdziwej konstytucji”.

Tymczasem, cokolwiek by w niej na nowo zapisano, będzie spełniane tak samo, jak zapisy istniejące. Z tej przyczyny — i to jest problem prawdziwy — że obywatele zostaną ci sami. Przynajmniej konsekwentni (także gdy tracą władzę i pozostają w opozycji) zwolennicy zaczęcia na nowo całkiem nowego państwa na razie nic nie wspominają, skąd by do niego wziąć obywateli innych od istniejących. Być może, czynią mocne założenie, że jak tylko obywatele dostaną „prawdziwą konstytucję”, zaraz sporządnią. Tu tezy o niezbędności fundamentalnej przebudowy państwa ujawniają z dwojga: otwarty charakter ideologiczny lub nie mniej otwartą wiarę w skuteczność magii. Albowiem pomiędzy fakty powszechnie znane liczyć należy wiedzę o tym, żeśmy są marnymi obywatelami.

Jednak ta wiedza nie stała się przedmiotem rzetelnej refleksji. Każde spostrzeżenie cząstkowe — jak to, że obywatel polski nałogowo kręci i oszukuje od przedszkola do parlamentu, że kieruje się głównie względami prywatno-koteryjnymi i że w poglądach jest hipokrytą, a w ocenach oportunistą — wyzwalało nie potrzebę zgłębienia źródeł tego chorobliwego stanu rzeczy, ale potrzebę rytualnego samousprawiedliwienia. Jak zawsze, winne rozbiory i komuna. Na razie o komunę mniejsza; rytualizm zaklinania się na rozbiory jako źródło obywatelskiej patologii jest oczywisty — przecież nader skutecznie do nich przyczyniła się właśnie obywatelska



patologia! Jej wyróżnikiem było utożsamianie wolności z uprzywilejowaniem i samowolą, a prawa z represją. *Stan wolny* w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej bynajmniej nie był orędownikiem wolności, lecz grupowego uprzywilejowania. Postępujące zagrożenie państwa, choć znaczne i zewsząd widziane, a — jak *Duch praw* dowodzi — jego przyczyny były jasne, nie skłoniło owego stanu do podjęcia realnej naprawy, bo to nieuchronnie wiązałoby się z ograniczeniem własnych przywilejów i z przyjęciem na siebie zobowiązań, regulowanych inaczej, niż słowem honoru. Dzieło reformatorskie podjęto nie w stanie zagrożenia lecz klęski politycznej — a i to nie miało ono mocy skonsolidowania *stanu wolnego*. Upadek Królestwa Obojga Narodów zabolął nie najmniej przecież i dlatego, że *stan wolny* pod obcym panowaniem zaznać musiał nieznanym sobie rygorów prawnych i społecznych. W tym i pogodzić się z tym do czego, wbrew wszelkim racjom, tak konsekwentnie dopuścić nie chciał, tj. z uwłaszczeniem stanu włościańskiego, a faktycznie *niewolnego*. [3] O tym, że podstawową wolność — osobistą — polskim włościanom zapewniła nie *złotą wolnością* słynąca Rzeczypospolita, lecz niszcząca ją oświeceni władcy absolutni przypomina się stanowczo zbyt rzadko, i też bez należytego przemyślenia tego paradoksu. [4] Godzi się też wspomnieć (bo to następna okoliczność skrupulatnie pomijana), że nie Polska jedna była pozbawiona suwerenności — mają swoje w tym względzie przejścia Czechy, Irlandia, Finlandia... a daj nam Boże po długich latach terminowania obywatelskiego nastawienia Finów. Tylko że trzeba by i Bogu dać szansę: nie ograniczać się do wzywania Imienia Pańskiego, ale takie terminowanie wreszcie zacząć.

Zgoda, że życie publiczne toczy się w Polsce torami nader nie-prawymi, wyznaczanymi przez afery, awantury i skandale. Z udziałem wszystkich uczestniczących w strukturze politycznej stronnictw, choć to nie tylko przypadłość sfery politycznej ani słabość jej oficjalnych uczestników. Ale to nie złe prawa tworzą afery i skandale, nie one wdają się w awantury; nie prawa wreszcie do tego wszystkiego przyzywają media. Wszystko to (i wiele jeszcze nieprawości pomniejszych) czynią ludzie, w świadomości których wszelkie normy, reguły czy przepisy są tylko formalnością do ominięcia, na tyle nieistotną, że nawet nie trzeba specjalnie się trudzić nad zachowaniem pozorów. Te stronnictwa oraz instytucje, znieprawiające przestrzeń publiczną w Polsce, tworzyli (i tworzą) najzwyczajni obywatele. Wnoszą w posagu nie co innego, tylko swoją osobistą kulturę prawną, swoje przekonania o tym, co jest w tej publicznej przestrzeni dopuszczalne i przyzwolone oraz swoje wyobrażenie o statusie politycznego aktywisty. Charakterystyczne dla owych ludzi władzy jest poczucie omnipotencji i bezkarności, oraz przeświadczenie, że rosą one wykładniczo wraz ze

wzrostem pozycji społecznej. [5] To dlatego parlamentarzyści, nawet z wykształceniem prawniczym, nie tylko publicznie ignorują prawo, ale — bywa — mają to za powód do chwały. Tworzy się karykatura świadomości sarmackiej: warstwa polityczna identyfikuje się mentalnie ze *stanem wolnym* i — konsekwentnie — zawłaszcza na swój użytek szlacheckie prerogatywy, te same, które państwo zrujnowały.

Nie jest to wcale przypadłość trapiąca tylko wyżyny władzy. Wręcz przeciwnie, to jest utrapienie powszechne, którego przykłady można znaleźć wszędzie. Z tego, że tę chorobę najlepiej widać z ulicy Wiejskiej, nie wynika, że na wsi jej nie widać. Jest to sposób widzenia charakterystyczny dla warstw niższych, przesiąkniętych resentymentem i aspirujących do awansu. Zajęcie wyższej pozycji postrzegane jest jako możliwość powiększenia *obszaru samowoli*. To dlatego Polak jest postrzegany jako destruktor, że poczucie swobody utożsamia z możliwością dewastacji. W tej optyce grzeczność, rzetelność czy poczucie obowiązku postrzegane są tylko negatywnie: jako skutki *przymusu*, znamionującego *poddaństwo*. To jest rzeczywiście dobry grunt dla krzewienia się patologii politycznej; ale przysposabiają go nie wady prawne lecz mentalne. One też mają swój znaczący udział w tworzeniu nadmiaru niedobrego prawa i zbędnej mnogości jeszcze gorszych wykładni.

Przykładem takiego niedobrego prawa jest zapis o możliwości uchylenia aresztu tymczasowego za poręczeniem majątkowym lub za poręczeniem powszechnie szanowanych osób. Zapis ten jest skandaliczny, ponieważ jaskrawo narusza zasadę równości wobec prawa: zmniejsza dolegliwość dla majątnych i ustosunkowanych. Nie dość na tym — zgodnie z postanowieniem kodeksu postępowania karnego areszt tymczasowy jest instrumentem zapobiegania możliwości wpływu podejrzanego na przebieg postępowania przygotowawczego; w tym: ukrywania lub niszczenia dowodów, wpływania na poszkodowanych i świadków, preparowania alibi itd. W zasadzie nie powinno być trudności ze zrozumieniem, że podejrzany, zdolny do „wykupienia się” z aresztu tymczasowego znaczną kwotą lub słowem znanych osobistości ma też znaczne możliwości przedsięwzięcia tego właśnie, do czego sankcja, której unika, miała nie dopuścić. I tak, choćby uchwalić, że przed wejściem do każdego sądu ma być spiżowa tablica z sentencją o równości wobec... itd., w mocy pozostanie mądrość ludowa, znana od czasów Batorego: *prawo polskie jako pajęczyna/bąk się przebije, a na muchę wina*.

Innym przykładem jest sposób interpretacji prawa. Ściśle z tymi złoгами mentalnymi związana. Nie jest bowiem tak, że wszystkie zapisy są nierzetelne. Ale nie pomogą najlepiej zredagowane zapisy, gdy zabraknie nie tylko woli ich przestrzegania, ale gdy będą interpretowane daleko obok „lity”, za to „wedle ducha”. Nie metafizycznego, lecz społecznego. Czyli wedle tego, jak interpretatorzy rozpoznają przyzwolenie społeczne. Wertując informacje o tym, jakie sprawy są umarzane ze standardowym uzasadnieniem „niską szkodliwością społeczną” i konfrontując te dane z informacjami o tym, w jakich sprawach śledztwa są wdrażane, oskarżenia kierowane do sądów i tam z całą powagą długo rozpatrywane, można dość wiele o tym przyzwoleniu powiedzieć. [6] O jego kierunku co najmniej w skrócie powiedzieć należy tyle, że wedle tych danych bez wątplenia istnieje przyzwolenie na prawną dyskryminację grup słabszych — czy to dlatego, że mało licznych (mniejszości kulturowe i obyczajowe), czy też ze względu na poślednie usytuowanie w hierarchii społecznej (kobiety, niepełnosprawni, dzieci, społecznie wykluczeni). I analogicznie dopełnia je przyzwolenie na forsowanie swoich racji grup uprzywilejowanych; w krajowych realiach są to grupy profesjonalnie eksponujące swój związek z dominującym wyznaniem. To dlatego z jednej strony notorycznie podejmuje się kroki prawne w celu rozpatrzenia (z reguły pozytywnego) spraw o „urazanie uczuć religijnych”, choćby przesłanki były wątpliwe, a poszlaki (o dowodach nie wspominając) iluzoryczne; i z tego samego powodu umarza się sprawy związane z mową nienawiści, choć przesłanki są silne, a dowodów moc.

Taki „ład prawny”, odzwierciedlający przeciw dominujący społecznie sposób myślenia i wartościowania, nie pozwala na optymistyczną konstatację, że „żyjemy w państwie prawa”. Ten „ład” domaga się rozpoznania jako akceptowana instrumentalizacja prawa, służąca wzmocnieniu hierarchicznej struktury społecznej. Dokonuje się to najprostszym i całkiem niewyrafinowanym sposobem, tzn. przez systematyczne wzmocnianie pozycji większości *kosztem* praw mniejszości. Nazywając zjawisko to dosadniej — taki model interpretacji prawa służy jednoznaczному zdominowaniu, wręcz zawłaszczeniu przestrzeni publicznej przez grupy uprzywilejowane; co nie oznacza nic innego, jak tylko eliminowanie z tej przestrzeni grup słabych.

Ciągłość tego procesu widać równie wyraźnie w interpretacjach indywidualnych. Zdawałoby się, że prawo do obrony czy równość dostępu do wymiaru sprawiedliwości jest zasadą formalnie niepodważalną. Zdawałoby się nawet, że — zważywszy rozwarstwienie polskich społeczności — zasada ta będzie przykładowo respektowana; tym przykładowiej, że nie ma w Polsce tradycji

świadczenia usług prawnych *pro publico* (a to, swoją drogą, w biednym kraju brak interesujący; i nie mniej interesujące jest przyjmowanie tego braku w milczącym zrozumieniu). Otóż nic z tego; może się zdarzyć — i się zdarza — że wniosek o wyznaczenie pełnomocnika prawnego z urzędu, uzasadniony społeczną i ekonomiczną mizérią, zostanie odrzucony. Z uzasadnieniem, że wnioskodawca powinien więcej pracować, wtedy miałby środki na leczenie i na adwokata. Zdarza się tak, to ważny szczegół, w regionach, w których poziom niedostatku i zakres społecznego wykluczenia jest (pozostając w poetyce prawnej) *faktem powszechnie znanym*; tzn. takim, o którym każdy może bez trudu uzyskać wiedzę i który wobec tego *sąd ma obowiązek brać pod uwagę z urzędu*. Jaśniej tej kwestii napisać niepodobna. Wyegzekwować respektowania czytelnego zapisu także niepodobna — z przyczyn jak wyżej.

Niebawem, bo mamy już kolejny koncept na „udoskonalenie” Ustawy Zasadniczej, rozpocznie się pseudodebata nad „wartościami”, którym ten koncept ma się szczególnie, jak żaden inny, przysłużyć. Pseudo, ponieważ potoczy się ona wedle znanego (i uprzykrzonego) schematu „i komu to może przeszkadzać”. Skupi się ona wyłącznie na sferze symbolicznej; przejścia od patetycznych deklamacji „o wartościach” do sentencji *res sacra, miser* (rozpatrywanej inaczej niż w trybie rapsodycznym) raczej nie należy się spodziewać. Argumenty są (także uprzykrzenie) przewidywalne; i trochę na wyrost tak nazwane. Standardem takiego dyskursu jest zastępowanie argumentacji rzeczowej argumentacją *ad hominem* i nadużywaniem retoryki wojennej: tylko „złym ludziom” (nihilistom, zwolennikom „cywilizacji śmierci”, lewacom, zboczeńcom) przeszkadza najniewinniejsze przecież, ba — podniosłe moralnie — zawłaszczenie *całej* przestrzeni dla *naszych* wartości i symboli, dla *naszych* obyczajów; to nie *my* zawłaszczamy — to ci „zli ludzie” *walczą z naszymi* wartościami. Będzie też dużo rozumowań pseudonaiwnych: że niby skoro komuś wadzą symbole religijne w przestrzeni publicznej, to zacznie się domagać burzenia świątyń, bo też są w tej przestrzeni. To oczywiście retoryczny cynizm, nie żadna naiwność: świątynie są miejscami szczególnymi — od dość dawna taka jest ich właściwość, że nie ma *świeckiego przymusu* czy też obowiązku uczęszczania do nich; uczęszczają tam ci, którzy tego chcą.

Tymczasem do instytucji publicznych obowiązek lub potrzeba kieruje ludzi *różnych* poglądów i obyczajów, w celach niezwiązanych z eksponowaniem czy uzgadnianiem świątopoglądów. Doprawdy, dla płatnika podatku nie jest interesujące wyznanie wiary urzędnika skarbowego ani — dla urzędu — wyznanie płatników wszelkich podatków. Nie widać żadnej racji, aby tak jedni, jak i drudzy w instytucji przecież niesakralnej (nawet dla wyznawców radykalnego fiskalizmu) musieli jej przestrzeń koniecznie zagospodarować symbolami należącymi do porządku innego niż fiskalny. I taki porządek rzeczy wydaje się dość zrozumiały: przestrzeń publiczna z definicji jest niezróżnicowana (neutralna) dla wszystkich obywateli. W przeciwnym razie dokonuje się tychże obywateli zróżnicowania — na uprawnionych do czucia się *swojsko* i tych pozostałych. Warto też wreszcie przemyśleć sobie, czy aby wobec tych, którzy mając do wyboru instytucję wyznaniową (szkołę, aptekę, klinikę itp.) i publiczną, wybierają instytucję publiczną, najwłaściwszym gestem jest ostentacyjne podkreślanie, że cokolwiek by wybrali, i tak znajdą się w przestrzeni bynajmniej nieneutralnej.

Nie mniej drastycznym procesem, choć obywatającym się bez angażowania symboli, jest różnicowanie obywateli wedle ich pozycji społecznej. Przykład chorego bezrobotnego, któremu w regionie niemogącemu uporać się z długotrwałym bezrobociem strukturalnym odmawia się przydzielenia pełnomocnika procesowego z urzędu, jest tego stanu rzeczy egzemplifikacją dostateczną, chociaż nie wyłączną. W regionach podobnych, tzn. fatalistycznie akceptujących rozległość i trwałość (przechodzącą w dziedziczość) społecznego wykluczenia, ostrzej zaznacza się realna linia stratyfikacji przestrzeni publicznej na część „swojską” i część dla „gorszych”. Przypisanie do tych części następuje nieledwie automatycznie: miejsce wśród *gorszych* przypadnie — wszędzie - biednie wyglądającym, niepełnosprawnym i kobietom; w miasteczkach — oprócz wymienionych także tym, którzy podają wiejski adres. Poniekąd nie jest to nic nowego — raczej następuje reaktywacja dawnego imprintu, określającego właściwy porządek: drzwi frontowe są dla *państwa*, a dla reszty jest wejście od kuchni i pokorne czekanie.

Obowiązkiem instytucji publicznych jest dbać o to, aby wszyscy — z konieczności, potrzeby czy wyboru z nich korzystający czuli się w tych miejscach *u siebie*, niezależnie od przekonań czy statusu materialnego i społecznego; aby w tej przestrzeni znajdowali się bez poczucia, że są na cudzym terenie — a zatem, że ich potrzeby mogą być ignorowane, a stawiane im wymagania cięższe. Taki stan rzeczy nie jest niczym innym, jak nierównością wobec prawa. Na co zresztą jest przyzwolenie społeczne. Tu jednak rolą państwa bynajmniej nie jest kultywowanie takich przyzwoleń.

Prawdopodobne też, że pojawią się głosy swoiście zdumiewające. Nie treścią wypowiedzi, ale faktem, że — dajmy na to — profesor prawa będzie wykazywał, iż symboliczne (ale przecież

niewyłącznie) zawłaszczenie przestrzeni publicznej przez grupy uprzywilejowane stanowi dobrą okazję, aby grupy z tej przestrzeni eliminowane poćwiczyły sobie... cnotę tolerancji. W wypowiedzi tej odnajduję podany bez znieczulenia tryb rozumowania, tkwiący w bogatych materiałach etnologicznych, zebranych w ostatnich latach przez Aliną Całą, Hannę Węgrzynek czy Joannę Tokarską-Bakir. Tryb ten zakłada jako rzecz oczywistą *podporządkowanie* wszelkiej mniejszości i wynikającą stąd całkowitą odpowiedzialność za „dobrosąsiedzkie” relacje. Wnikliwy komentarz tego zjawiska dała tylko JTB. Jeśli nadal takie rozumowanie ma być „oczywiste”, to mogę — *pro domo sua* — replikować, że tak jak nie należy się spowiadać z cudzych grzechów, tak też nie należy żadnej cnoty praktykować cudzym kosztem. Sposobności do ćwiczenia cnoty tolerancji mniejszości miały już pod dostatkiem; pora, aby do ćwiczeń przystąpili ci, którzy tak chętnie innym je zalecają.

To jednak — ten sposób rozumowania — jest także powodem, dla którego spodziewać się należy również braku głosów tych, którzy to zawłaszczenie odbierają jako sprawę znaczącą. To także nieodzowny składnik pryncypialnych debat krajowych, że toczą się one ponad głowami *dzieci gorszych bogów*; niekiedy ze wskazaniem, że ich opinie są jakoś tam skażone — obce tradycji, związane z „cywilizacją śmierci” lub zgoła *postkomunistyczne* — a zatem niegodne nawet wysłuchania, a co dopiero uwagi.

Sam tryb tego dyskursu faktycznie *wyklucza*; trzeba niemałego samozaparcia, aby nie należąc do uprzywilejowanej grupy, zgłaszać wątpliwości wobec zakresu jej roszczeń symbolicznych czy realnych, czyli wystawiać się na insynuacje i inwektywy. Tak, bo te wszystkie znane „sponiewierane kobiecości”, „feministyczne betony” na kwas solny niewrażliwe, „lewacy”, „roszczeniowcy”, „aborcjonisci”, „pederaści czyli pedofile” itd., to są inwektywy i insynuacje. Już sama „oczywistość” zrównania każdego, kto ośmieli się zwątpić publicznie w stosowność symboli jednego wyznania czy też w zasadność walorami społecznymi dyktowanego podziału na „ważnych” (swoich) i „nieważnych” (obcych) w instytucjach, mających *ex definitione* służyć wszystkim, z „nihilistą” czy „postkomunistą” winna wzbudzać trwogę... nie, niewyłącznie u tych, którym ta trwoga rzeczywiście odbiera głos lecz zwłaszcza u tych, którzy z dumą podkreślają przynależność do demokracji. Ten nawyk wykluczania z debaty nad urządzaniem — i symbolicznym, i wymiernym — przestrzeni publicznej w żadnym razie nie pozwala utrzymać twierdzenia, że dokonano się już przekształcenie społeczności w „demokratyczną i otwartą”; czy że taki charakter ma akceptujące ten nawyk państwo.

Legislacyjna nadgorliwość, zabieganie o wciśnięcie współobywateli w jak najgęstszy gąszcz rygorów, także symbolicznych, nie jest świadectwem wielkiej wrażliwości. Raczej — zważywszy własny stosunek do prawa — wskazuje to na myślenie nie o *współobywatelach*, lecz *poddanych*, których trzeba ujarzmić regułami, jakich do siebie i tak stosować nie będziemy. Tego nie odmieni się inaczej, jak obliczoną na dziesięciolecia pracą edukacyjną. *Pracą*, więc nie samym dziesięciolecia trwającym majstrowaniem przy zapisach edukacyjnych. A na to się nie zanosi, ponieważ tworzenie społeczności obywatelskich jest raczej wbrew strategiom władzy. "(...) *Polska jest pierwszym zachodnim krajem, w którym zwycięstwo odniosła antymodernistyczna reakcja, stając się w efekcie siłą hegemoniczną: hasła absolutnego zakazu aborcji, antykomunistycznej „lustracji”, wykluczenia darwinizmu z edukacji na poziomie podstawowym i średnim, aż do przedziwnego pomysłu, by ogłosić Jezusa Chrystusa Królem Polski, łączą się w kompleksową propozycję ustanowienia wyraźnego przełomu i powołania nowej Rzeczypospolitej Polskiej jawnie opartej na antymodernistycznych wartościach chrześcijańskich. (...) Mimo tak gorączkowych zabiegów wokół projektu wprowadzenia trwałych wartości chrześcijańskich do życia społecznego nie można zapominać, że antymodernistyczny fundamentalizm jest zjawiskiem do głębi reaktywnym (w Nietzscheańskim sensie): jego sednem nie jest pozytywna polityka aktywnie poszukująca nowego projektu społecznego, ale polityka strachu, której siłą napędową jest obrona przed zagrożeniem.* [7]

Przypisy:

[1] W nader ciekawym panelu poświęconym okrucieństwu, a zorganizowanym przez W. Galewicza w *Diametros*, wątek ten, wywodzony z nietzscheańskiej koncepcji źródeł panowania, był traktowany tylko w jednym aspekcie: właśnie jako zbiór akcydentalnych porządków społecznych. Tymczasem sprawą istotną nie jest sam zbiór i jego charakter, ale charakter generującej go matrycy.

[2] Jest to współczesna postać sporu między sofistami a sokratykami (tj. postaciami egzemplifikującymi nieużyteczną i niepragmatyczną koncepcję 'prawdy politycznej', występującymi w pismach sokratycznych). Ostatnio bardzo jasno i trafnie wątek ten

przedstawił, nawiązując do W. Jaegera, P. Paczkowski.

[3] Lista bibliograficzna do tego zagadnienia jest długa. Przynależy do niej wiele z polskiej literatury sylwicznej, którą bada D. Ulicka. Tu wystarczy przywołać obserwację Jeana Baudoin de Courtenay, gdyż od niej zaczyna się jego dzieło pioniera polskiej etnologii. W dzienniku podróżnym zanotował, że ziemie polskie zamieszkują dwa ewidentnie odrębne narody. Najpierw dostrzega się odrębność antropologiczną: obie nacje znacząco różnią się wzrostem, kondycją fizyczną i tempem starzenia się. Wraz z tym widać, że *naród rosły* traktuje *naród wąty* jak nację podbitą i zniewoloną. Częściowa wspólnota języka jest dla badacza wskazówką, że ów podbój i zniewolenie dokonały się dawno, a nie że jest to głęboko podzielona jedna etnia. Ten trop literacko wykorzystał S. Żeromski.

[4] W pamiętnikach W. Witosa znajduje się wątek dochodzenia przez literaturę do świadomości etnicznej. Dla pokolenia rodziców Witosa i dla niego samego (przed tym przełomem) było oczywistością, że z polską szlachtą nie łączy ich nic, oprócz wieków wyzysku, ukróconego przez władzę cesarską (zabór austriacki).

[5] Wskazują na to informacje medialne o nagannych zachowaniach przedstawicieli różnych szczebli władzy, którym nie towarzyszy bynajmniej zawstydzenie ani uznanie własnej winy; wskazują też losy przymiarek do dyskusji o zakresie immunitetu poselskiego. Oraz fakt, że - jak dotąd - rzetelnej dyskusji udało się uniknąć.

[6] Zob. M. Płatek, *Jakiegoś geja poszturczyć*; także wyczerpujący raport stowarzyszenia *Otwarta Rzeczpospolita* dotyczący czterech umorzonych postępowań. Zob. J. Jedlicki, A. Bodnar, A. Cała, M. Głowiński, *Przestępstwa nie stwierdzono*, Warszawa 2008.

[7] S. Žižek, *Polska jako symptom*, w: *W obronie przegranych spraw*, tł. J. Kultyła, Warszawa 2008, s. 45 - 46.

Romana Kolarzowa

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego (zakład aksjologii wydziału filozoficznego). Wcześniej pracowała na Uniwersytecie Jagiellońskim, w Akademii Muzycznej w Poznaniu oraz na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Była redaktorką wydawnictwa Rebis. Była związana z organizacjami: Ruch Obrony Praw Kobiet, NEUTRUM, Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Autorka książek: "Postmodernizm w muzyce" (Warszawa 1993), "Przekroczyć estetykę" (Kraków 2001), "Wprowadzenie do tradycji i myśli żydowskiej" (Rzeszów 2006), "Kilka ćwiczeń z myślenia praktycznego" (w przygotowaniu).



[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 24-04-2011 Ostatnia zmiana: 25-04-2011)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,1202) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,1202>)

Contents Copyright © 2000-2011 Mariusz Agnosiewicz

Programing Copyright © 2001-2011 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl